

# odgłosy



Nr 22 (326)  
31. V. 1961 R.  
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: Jeden dzień na Targach • Zielone światło dla „Semafora”  
• Bez peletonów • Zwierzenia archeologa • Szekspir w teatrze łódzkim  
• Wiersze • Polonica • Felietony • Recenzje

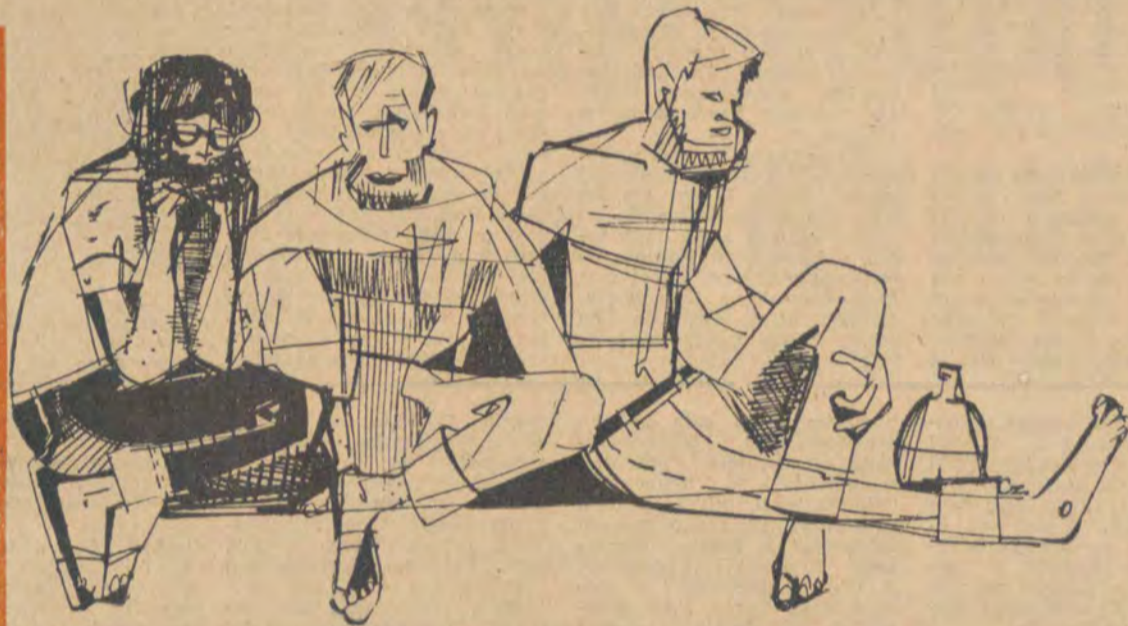
## LECH UTRACKI Ball na ulicy WENECJA

I.

Los Angeles, Wielkie Los Angeles: 10 milionów ludzi, kilkadziesiąt dzielnic, osiedli, miast i miasteczek o różnej ludności, różnym charakterze.

Wenecję — Los Angeles poznałem przypadkowo, jak wszystko co w życiu zdarza się prawdziwie interesującego. Był piątek. Na uniwersytecie pustki. Zbliżający się weekend, zmęczenie po całonocnej pracy, wypędziły ludzi znacznie wcześniej. Nadciągał wieczór. Słońce, jakkolwiek wysoko jeszcze ponad ukrytym oceanem, cęgiasto czerwona, ogarniająca całą kwartę niebia płama opłomiętało miasto. Po rocznym pobycie wciąż nie mogłem się przyzwyczaić do owych krawych, „złowrożeńych” zachodów. To „santanas” — wiatr wiejący od pustyni Nevada i Arizony niosł miliardy małych cząsteczek piasku, przysyłając słońce i rozpraszając jego promienie. Wpatrzony w niebo leżałem pod drzewem na trawie, przed moim laboratorium. Doświadczenie szło samo. Za godzinę będę wolny. Co zrobić z weekendem? Jeden z moich stałych towarzyszy wypraw wyjechał do Kanady na dwa tygodnie, drugi miał jutro splanować towarzyskie długie. Nie bardzo chciało mi się jechać gdziekolwiek samemu a na siedzenie dwa dni w domu szkoda czasu.

Za węglą budynku wyszedł Ivan (czytaj Aiwyn!). Była to chyba najsympatyczniejsza postać na Wydziale. Ivan był drugim pokoleniem amerykańskim, lecz pochodząc z rodziny norweskiej utrzymywał ścisłe kontakty z grupą Norwegów mieszkającą... Oczywiście! W porcie Los Angeles. Tańczył w ich zespole ludowym, grał na banjo, pływał „na żaglach”, jeździł staruteńkim, malutkim Renaultem, czytywał starych filozofów i młodych poetów i był ciekawy świata. Z Ivanem spędziłem kilka słonecznych dni wyprawy jachtem do pobliskiej wyspki, wyprawy obfitującej w dramatyczne momenty.



— Hi Leszek! — zawołał z dala. — Może wybrałbyś się posłuchać amerykańskiej muzyki ludowej? Do „Szopy” przyjeżdża Joan Beaz. Może będzie też Texas Bill. O, chłopie, jak on gra na banjo!

Pojechaliśmy. „Szopa” był to niepozorny, parterowy budynek, przedzielony na dwie części: pierwsza mieściła kiosk-sklepek z bardzo modern biżuterią z muszli, kamieni, odpadków i szmelcu oraz księgarnię z płytami i książkami młodych beatników — była ona przeznaczona dla „squares” czyli kwadratowych, jak w języku Ivana określało się wszelkich mniej więcej normalnych ludzi nie-beatników. Część druga, właściwa, była rzeczywiście przestronna szopa bez sufitu. Parę „golych” zawieszonych wysoko żarówek ledwie-łedwie rozjaśniało ciemności pozabawionej okien sali. Przy prostych stołach, na drewnianych, szerokich ławach siedzieli, siedzieli najdziwniejsza zbieranina najdziwniejszej młodzieży. Wiek od „nasu” do 50-60 lat. Wspólną cechą był młodzieżowy strój-mundur beatnika: „levisy” gole, stopy w sandałach, czarne swetry lub koszulki gimnastyczne, a co najważniejsze: BRODY. Były tam brody długie i dzikie, brody szerokie, rude marynarskie, brody francuskie, brody żydowskie, strzyżone hiszpańskie i brody patriarchalne. Dziewczyny, jedna w drugą śliczne jak kwiaty, ubrane były podobnie jak chłopcy. Brakowi zarostu (biedaczki!) zaradziły z prawdziwie kobiecą przemyślnością, zapuszczając długie, swobodnie rozpuszczone włosy. Jak dowiedziałem się później, zapuszczenie zarostu czy też hodowanie nie fryzowanych i nie upiętych włosów ma swe głębsze znaczenie i wiąże się bezpośrednio z podstawami filozofii beatników, filozofii buntu (dla buntu) i powrotu do natury.

Mała eстрада ustawiona w kącie sali ginęła w zupełnym mroku. Z dwu stron napierały na nią rzędy ław i stołów z rozrzeszczoną, dyskutującą publicznością. Wy-

stępy jeszcze się nie rozpoczęły. Czekający jedli przecie lub suszone plątki ziemniaczane — „czipsy” i zapijali piwem dostarczanym na stoły w wielkich dwulitrowych dzbanach przez dziewczyny z obcisłymi trykotach. Sala robiła wrażenie sympatyczne, lecz prymityw był niespotykany.

Nagle rozbiły się zawieszane wysoko, małe reflektorki wydobywając z mroku postać dziewczyny z czarnymi, rozpuszczonymi włosami, w dżinsach i koszuli wypuszczonej na spodnie. Sala cichła powoli i tylko gdzieś odgłosy się pojedyncze głosiły: „Hi Joan, jak się miewasz”. Uśmiechnęła się i lekko uderzyła w struny gitary:

„Oh, nie zakopcie mnie wśród samotnej prelii,  
Gdzie dzikie koty będą wyć nade mną,  
Gdzie grzechotnik syce i wiatr duje swobodnie.

Oh, nie zakopcie mnie wśród samotnej prelii.”

Popłynęły piosenki znane ze słyszenia, nowe i stare. Przed niektórymi, śpiewanymi w żargonie, Joan opowiadała ich treść, kiedy indziej historię zdobycia piosenki. Publiczność była oczarowana. Śpiew był dla nich czymś w rodzaju obrzędu, mszy... Siedzieli zasłuchani, wybuchający entuzjazmem po przebrzmieniu ostatnich dźwięków.

Później wielokrotnie brałem udział w podobnych występach. Słyszałem w tej „Jestionowej szopie” piosenki amerykańskie, japońskie, rosyjskie, polskie, żydowskie, niemieckie i polinezyjskie i murzyńskie. Słyszałem pieśni narodowe i piosenki satyryczne. Słyszałem solistów i zespoły. Reakcja była zawsze bardzo żywa, głęboka. Między widziami i artystami panowała mocna więź sympatii i zrozumienia. Najtrudniejszą kon-

Dalszy ciąg na str. 6

JAN BABIŃSKI

## EXODUS

Rustyfikacja czy urbanizacja?

Jeśli słowo rustyfikacja wzięło swój rdzeń z „rusticate”, to nie należy przekładać rdzenia zbyt dosłownie. Gdy student: Oksfordu nie zda ważnego egzaminu, wówczas jest „rusticated” — wysyłany na wieś, do rodzinnego majątku, aby pod okiem surowego papy nadrobił zaległości. Fabryka to zupełnie co innego. Fabryki nie da się przenieść

z miasta na wieś, aby potem przewieźć ją z powrotem do Łodzi.

Zresztą pojęcie rustyfikacji kryje, jak się zdaje, sens znacznie szerszy.

To rozproszenie budownictwa przemysłowego — lokalizacja dużych inwestycji nie tyle na wsi, ile w małych miasteczkach.

Najbardziej zagorzałymi szermierzami tej idei są Szwajcarzy. To mądry naród. Wśród skalistych gór

wypracował dla siebie najwyższy standard życia w części świata zwanej Europą. Szwajcarzy są zdania, że wiek XX to przede wszystkim wiek nieprawdopodobnej precyzji w robocie. Tę precyzję można uzyskać jedynie w kojącej atmosferze lasów, w ciszy zaspianych osiedli, hen daleko w górskich kantonach. Bo wielkomiejski gwar i hałas to ów biblijny młyn, który miele powoli, za to na miazgę. Miele ludzkie nerwy na drobny proszek.

Dlatego słynne zegarki „Made in Swiss” są często wyrobione w zwykłych wioskach i osiedlach.

Jaką drogę my wybieramy — aglomeracji przemysłowej, czy też deaglomeracji — rozproszenia?

Nie tak znów dawno mogło się zdawać, że los Brzezin, Rawy, Wielunia jest już

zafiksowany na amen. Centralizację doprowadzono do absurdu. Warszawa przede wszystkim. Rzeszy ożnaczał zesłanie. Łódź też oznaczała zesłanie. O miastach powiatowych lepiej nie wspominać. Wegetowały Uniformizacja prowincji. Czas odziewał dostojne niegdyś grody w mundur jednolicie spłowiały, wyarty, to jest odarty z tynku i farby. Widok Łowicza, Łęczycy... jeszcze kilka lat temu był widokiem przykrym. Wiedły nam miasta, obumierały. Rozpacz brała — z Łęczycy i Sieradzem umierała wielka karta historii narodu.

Nie chciałbym wejść w skórę działaczy rozstrzygających o lokalizacji kuczo-

Dalszy ciąg na str. 4

ADAM LEŚNIEWSKI

## UNIwersytet ŁÓDZKI — DZIEŁO POLSKIEJ REWOLUCJI

Jedną z ważniejszych właściwości naszej rewolucji kulturalnej jest to, że wywołując postępowe inicjatywy społeczne wychodził im naprzeciw aktami władzy państwowej, które nadają tym poczynaniom charakter instytucjonalny, a więc trwały. Za tym ogólnikowym stwierdzeniem kryje się jednak różnicowanie i pełne kontrowersji bogactwo faktów — które jeśli chodzi o Uniwersytet Łódzki — składają się na historię powstania tej pierwszej wyższej uczelni w naszym mieście. Trzeba więc było ogromnego zapалу uczonych, którzy uniwersytet ten potrafili stworzyć dosłownie z niczego, jak również odpowiednich decyzji władz centralnych i miejskich, które zabezpieczyły niezbędną potrzebę materialną uczelni oraz nadały jej status szkoły wyższej.

Powszechnie uważa się, że powodzenie każdego nowego przedsięwzięcia zależy w dużej mierze od zdolności trzeźwego spojrzenia na rzecz. A przecież na pozór twierdzenie to zdaje się tracić w jakimś stopniu swój walor prawdy, gdy odnieść je do twórców Uniwersytetu Łódzkiego.

Brak odpowiednich pomieszczeń, brak aparatury, brak książek, brak wszystkiego co stanowi według dzisiejszych pojęć najskromniejsze choćby wyposażenie wyższej uczelni, a przy tym spowodowane wojną wyniszczenie kadry pracowników nankowych — każda z wymienionych przyczyn przesadziłaby w tzw. „normalnych” czasach o niemożliwość zbudowania uniwersytetu.

Jeśli jednak te pozornie niemożliwe cele zostały osiągnięte, to chyba dlatego, że pokolenie rozpoznające budowę Polski Ludowej — w tym także organizatorzy naszego uniwersytetu — potrafiło się oprzeć niezwykle trudnym i deprymującym warunkom powojennej egzystencji i wbrew wnioskowi zdającym się wypływać z tzw. „normalnych” kryteriów oceny sytuacji, podjęło niezwykle ciężką pracę.

A teraz przyjrzyjmy się faktom. W wyniku katastrofy wojennej i zburzenia Warszawy, Łódź w pierwszych latach po wojnie stała się ośrodkiem skupiającym stosunkowo liczne grono profesorów i młodszych sił naukowych pochodzących z innych miast, m. innymi z Warszawy, Włocławka i Lwowa. Zorganizowanie studiów uniwersyteckich w Łodzi wydawało się tym bardziej możliwe, że istniał tu ich związek w postaci przedwojennego jeszcze oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej. Była to okoliczność o tyle pomyślna, że uczeni związani z tą uczelnią oraz niektórzy inni przybyli do Łodzi, wyróżnili się w okresie sanacyjnym demokratyczną i laicką postawą.

Dalszy ciąg na str. 3



## Dalszy ciąg ze str. 1

W połowie lutego 1945 r., a więc w niespełna miesiąc po wyzwoleniu naszego miasta, kiedy w prasie pojawiły się informacje o organizowaniu uniwersytetu, okazało się, że na nową uczelnię czekają z niecierpliwością liczne zastępy młodzieży.

W początkach marca rektor oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej prof. dr Teodor Vieweger otrzymał z Ministerstwa Oświaty nominację dla pierwszych członków Komitetu Organizacyjnego nowej uczelni, obejmującego obok samego Viewegera profesorów Mariana Grotowskiego, Jana Muszkowskiego, Bolesława Wilanowskiego i dra Juliana Żukowskiego. Wkrótce w łonie Komitetu ujawniły się różnice poglądów co do zakresu działania i struktury przyszłego uniwersytetu. I tak prof. Wilanowski reprezentował koncepcję stworzenia uczelni-giganta, łączącej w sobie wydziały konwencjonalnego uniwersytetu, politechniki oraz akademii medycznej. Inaczej przyszłość uczelni widział rektor Vieweger, który chciał, by nowy uniwersytet był kontynuacją Wolnej Wszechnicy, tj. szkołą uprawiającą naukę czystą i rezygnującą z kształcenia zawodowców-praktyków. Wadą tego projektu było to chyba, że uczelnia tego typu mogłaby w niewielkim tylko stopniu zadośćuczynić potrzebom zrujnowanego przez wojnę i okupację kraju, domagającego się dużej ilości wysokokwalifikowanych specjalistów. Spór o oblicze nowego uniwersytetu przecięty został w sposób tragiczny: 22 maja 1945 r. rektor Vieweger poniósł śmierć w wypadku samochodowym.

Przewodnictwo Komitetu objął teraz prof. Grotowski; dokończono również prof. Gasiorowska. W dwa dni później, 24 maja ukazał się dekret rządowy powołujący do życia Uniwersytet Łódzki. Tak więc, z woli władzy ludowej, zaniechana w okresie kapitalizmu Łódź otrzymała swą pierwszą wyższą uczelnię, której 19 rocznicę powstania uroczysto obchodzimy w tym roku.

W połowie czerwca, decyzją Ministerstwa Oświaty zadania Komitetu przejął tzw. Komisja Kierująca złożona z profesorów Józefa Chałasińskiego, Mariana Grotowskiego i Stanisława Ossowskiego, która z kolei zastąpił mianowany 3 lipca rektor — prof. dr Tadeusz Kotarbiński. Z tą chwilą przesadzona została ostatecznie sprawa charakteru łódzkiej uczelni, ponieważ zgodnie z otrzymanymi dyrektywami, rektor Kotarbiński nadął działającej już uczelni formę normalnego państwowego uniwersytetu.

Zanim to się jednak stało, inicjatywie łódzkich naukowców i władz centralnych przyszyły z pomocą lokalne organa władzy. Już na pierwszym plenarnym posiedzeniu Miejskiej Rady Narodowej w dniu 8 marca 1945 r. uchwalony został wniosek następującej treści:

„Miejska Rada Narodowa w Łodzi... apeluje do Prezydium KRN i Prezydium Rady Ministrów aby w jak najkrótszym czasie został uruchomiony uniwersytet w Łodzi, łącznie z wydziałem medycznym i politechnicznym, które by czyniły zadość wszechstronnym i wieloletnim i zamieszkałym młodzieży oraz dostarczyłyby państwu wykwalifikowanych pracowników we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego i społeczno-gospodarczego...”

Mimo zwycięskiego stosunku władz, uniwersytet borykał się z wielkimi trudnościami wynikającymi z ogólnej sytuacji zniszczonego wojną kraju. Pozbawiona własnego

budynku uczelnia gnieździła się przy ul. Żeromskiego 115 w charakterze sublokatora w gmachu szkoły zawodowej. Jak wspominał jeden z ówczesnych studentów: „z ulicy wchodziło się wprost do pokoju rektora i do pokoju profesorów. Profesorowie suszyli koło kaloryferów buty, czekając na opróżnienie sal. Gdy studenci wraz z profesorami zdobywali w końcu sale, siedzieli wszyscy w palłach marząc w nie opalanych pomieszczeniach. Pracownie uniwersytetu znajdowały się w sferze marzeń”.

Wprawdzie uchwałą drugiego plenarnego posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej z 20 marca 1945 r. przyznano uniwersytetowi budynki, jednakże były one bądź zajęte

Prawda i wolność — oto sztandarowe hasło uniwersytetu<sup>1)</sup>

Oceniając postawę dużej części ówczesnej młodzieży studenckiej, która zarówno swym pochodzeniem społecznym, jak i poglądami politycznymi różniła się od dzisiejszej młodzieży akademickiej wychowanej w Polsce Ludowej, rektor Kotarbiński stwierdzał:

„Oblicze większości nie jest dość określone i byłoby błędem utożsamianie jej postawy z postawą jednolitej programowej opozycji. Uniwersytet właściwie dopiero powstaje. Funkcjonuje on in statu nascendi. Jest to tak, jak gdyby wóz ruszył w drogę i jak gdyby dopiero podczas jazdy nakładano mu koła na osie. Głównym powodem opóźnienia jest ogrom klęsk

uniwersytetach opierała się o liberalną koncepcję uniwersytetu. I tę koncepcję przeniesiemy po wojnie wraz z ideologią antyfaszyzmu. Byliśmy za wolnością od faszystów, tak jak nasi liberalni przodkowie byli za wolnością od feudalizmu. Ale tamci zdobywali wolność od feudalizmu tworząc kapitalizm. A my? Chcieliśmy wolność od faszystów, nie widząc tego, że wolność od faszystów to znaczy budowa socjalizmu...”

Demokratyczne i socjalistyczne tendencje torowały sobie jednak drogę na Uniwersytecie Łódzkim od początku istnienia uczelni. Zanim jeszcze rozpoczął się proces reorganizacji wyższych uczelni w skali ogólnokrajowej, Uniwersytet Łódzki zapoczątkował we własnym

jeszcze braków posiadamy laboratoria i aparaturę, o której trudno było nawet marzyć w 1945 roku. W miejsce dawnych Kursów Przygotowawczych dla Młodzieży Robotniczej i Chłopskiej, które po spełnieniu swej roli uległy likwidacji, mamy dziś w Łodzi rozbudowane Studium dla obco krajowców.

W nie mniejszym stopniu poprawiły się warunki bytowe studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Dziełki staraniom członków AZWM „Życie”, do końca 1947 r. Bratnia Pomoc uruchomiła 5 stołówek.

Obok wyżywienia najpilniejszą była dla studentów sprawa dachu nad głową. Do Łodzi przyjechało z całej Polski dwa tysiące studentów, a o mieszkania było tym trudniej, że w mieście znajdowała się duża liczba repatriantów oraz wczasowików nie mających dokąd wracać. Z inicjatywy PPR, Miejska Rada Narodowa przyznała studentom trzy duże budynki, lecz nim zdolano je przejąć, zostały one zajęte przez przedwojennych mieszkańców. Dopiero 16 maja 1945 r. władze miejskie przydzieliły Uniwersytetowi Łódzkiemu dom przy Alei Kosciuszki 17, który przeznaczony został na I Dom Akademicki. Te studentki, które zamieszkały w nim, żyły w prymitywnych warunkach.

Tak mniej więcej wyglądało życie studentów przed dziewiętnastu laty. Myślę, że wizja „szklanych domów” z „Przedwiośnia”, zdawała się wtedy bardziej realna, niż możliwość wyobrażenia sobie, że przy ówczesnej ulicy Bystrzyckiej (dziś Lumumby) stanie cały kompleks znanych nam budynków, dający początek dzielnicy uniwersyteckiej w Łodzi.

Równie nieżyczliwe i nieosiągalne wydawały się wtedy wakacyjne wyjazdy studentów za granicę, nie mówiąc już o dzisiejszym szerokim systemie stypendialnym, który wielu spośród młodzieży ułatwia start życiowy.

Ale oprócz tych ważnych zmian, minione dziewiętnastolecie przyniosło szereg przeobrażeń, które dokonały się w świadomości zarówno pracowników naukowych jak i studentów naszej uczelni. Spełniony został z nawiązką wysuwany w 1945 r. postulat demokratyzacji uniwersytetu, dawno już marksizm stał się pełnoprawną i docenianą przez profesorów doktryną naukową, silnie zarysowuje się zbliżenie dażeń personelu naukowego i studentów w ugruntowaniu socjalistycznych idealów, obywatelskiej postawy i patriotyzmu młodzieży akademickiej.

Mimo tak poważnych osiągnięć praca nasza nie jest zakończona. Są jeszcze u nas katedry odczuwające ciasnotę pomieszczenia i pewien niedostatek wyposażenia. Z biegiem lat poprawiliśmy naszą pracę szkoleniową, sładzimy jednak, że stać nas na dalsze jej usprawnienie — nie bez czynnego udziału studentów — tak aby jeszcze bardziej zmniejszyć liczbę tych, którzy nie kończą studiów. Dążymy do podniesienia na wyższy poziom pracy wychowawczej w przekonaniu, że Polsce potrzebni są dobrzy specjaliści, osobście zaangażowani w sprawę budowy socjalizmu.

Dorobek minionych dziewiętnastu lat upewnia nas, że najtrudniejszą część drogi zdaliśmy już przebyć, mamy też wszelkie dane aby wierzyć, że w następnym okresie zdolamy w pełni osiągnąć nasze dzisiejsze cele.

1) T. Kotarbiński: „Pierwsze czterolecie Uniwersytetu Łódzkiego”, 1945/46—1948/49, w „Materiały do dziejów Uniwersytetu Łódzkiego” (1945—1950), Łódź 1952, s. 51.

2) Tamże.

3) „Materiały do dziejów UL”, s. 217—218.

4) „Materiały do dziejów UL”, s. 76.

ADAM LEŚNIEWSKI

# UNIwersytet Łódzki - Dzieło polskiej rewolucji

przez wojsko — pamiętajmy, że trwała wojna — bądź ze względu na konieczny remont nie nadawały się do natychmiastowego użytku.

Inna, niezmiernie dotkliwa trudnością była ciężka sytuacja materialna większości profesorów, pozbawionych odzieży, wyniszczonych na skutek przejść wojennych, często niedożywionych i pozbawionych własnego mieszkania. Oddany do dyspozycji uniwersytetu dawny hotel „Monopol” przy ul. Próchnika 7 w małym tylko stopniu mógł zaspokoić najpilniejsze w tym zakresie potrzeby.

Wbrew tym wszystkim trudnościom rejestracja kandydatów na studia rozpoczęła już 15 marca, pierwsze zaś wykłady na uniwersytecie — posiadającym oprócz dzisiejszych wydziałów także wydział lekarski, rozpoczęły się w tydzień później.

Objmując kierownictwo uczelni rektor Kotarbiński został wyposażony w szerokie pełnomocnictwa, które pozwoliły mu powołać 6 września 1945 r. Komisję Naczelną jako odpowiednik Senatu Akademickiego, a w dniu 9 października Komisję Główną, odpowiadającą Radom Wydziałowym. Były to ciała doradcze. Komisja Naczelna w skład której wchodziło kilku postępowych profesorów a wśród nich jeden z najczynniejszych założycieli Uniwersytetu Łódzkiego, członek PPR i późniejszy prorektor Akademii Medycznej prof. dr Jerzy Jakubowski, realizowała politykę, którą wyznaczał cięszący się dużym uznaniem i autorytetem rektor Kotarbiński.

Jeżeli chodzi o jego program działania to wyraził go następującymi słowami: „Uniwersytet Łódzki chce być dostępnym głównie dla dzieci ze sfer pracujących, chce być szczerze postępowy (a to, że jest nowy ułatwia mu niezależnienie się od średniowiecznego balastu, pokutującego w tradycji starych wszechnie), chce być zdecydowanie laicki,

wojennych, rozprzeżenie wiazadeł społecznych, dewastacja kraju, bezwzględny upływ czasu, nie życzące sobie czekać, aż przygotowania dojrzeją, spóźniony z konieczności start... Pełno braków i nie zaspokojonych, a nabrzmiałych potrzeb mimo pełni dobrej woli i ofiarnego wysiłku ze strony władz...”<sup>2)</sup>

Inaczej jednak oceniała ten stan rzeczy radykalna część profesury. Profesor Gasiorowska pisała:

„Na początku dziejów naszego Uniwersytetu mecia była wrogość, agresywność zwolenników starego porządku, manifestująca się różnymi, tragicznymi nieraz wystąpieniami młodzieży...”<sup>3)</sup>

Podobnie wypowiadał się profesor Serejski:

„Profesorowie w swej większości marzyli jedynie o powrocie do dawnych zajęć i odwracali się od wszelkich przemian rewolucyjnej epoki. Tradycje wiazały ich z dawnymi wzorami pracy uniwersyteckiej i z ideologią liberalno-mieszczanską. Nie chcieli dostrzec rewolucji dokonującej się poza murami uczelni i nie byli przygotowani do jej przyjęcia w murach uniwersyteckich. Młodzież rekrutująca się z całej Polski do roku 1945—1949 w nikłym odsetku pochodzenia robotniczo-chłopskiego, orientowała się niechętnie lub wrogo w stosunku do nowej rzeczywistości...”<sup>4)</sup>

Z czasem w gronie profesorskim zarysowała się rozbieżność poglądów w sprawie założeń programowych Uniwersytetu Łódzkiego. Było to naturalne następstwo faktu, że w ciągu kilku pierwszych wojennych lat rewolucja zdolała dość głęboko przeorać najważniejsze dziedziny życia społecznego w Polsce, w przeciwieństwie do wolnego tempa i względnie wąskiego zakresu przemian jakie zachodziły na uniwersytecie. Według prof. dr Józefa Chałasińskiego — rektora Uniwersytetu Łódzkiego w 1950 r. — „Przed wojną cała antyfaszystowska i antyradykalistowska walka na

## ŁÓDZKIE XX-LECIE

### OSIEDLE im. WŁADY BYTOMSKIEJ

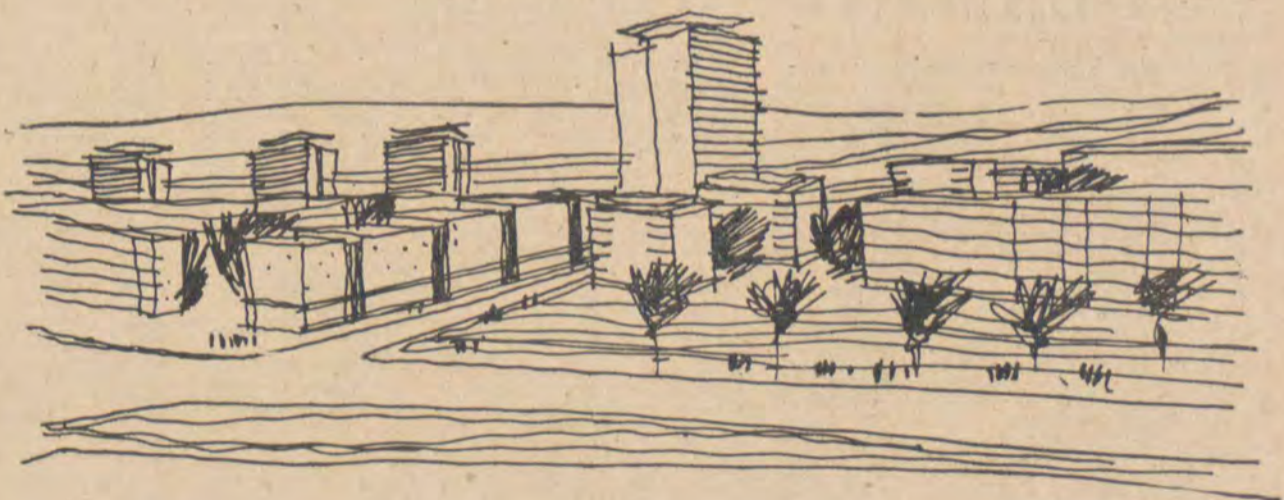
MYŚL: Zupelnie oazy — wyprowadzić tysiące rodzin z tzw. pomieszczeń niemieszkalnych (strychów, suteren), zapewnienie bazy mieszkaniowej rozwijającemu się miastu. Budowę osiedla rozpoczęto w drugiej połowie lat pięćdziesiątych — pierwsze izby oddano w 1957 roku.

DANE: Na terenie osiedla znajduje się 16 sklepów różnych branż, 4 szkoły, 2 przedszkola, 2 żłobki oraz 1 apteka, 1 przychodnia, 1 kawiarnia, 1 bar mleczny, 1 biblioteka oraz 7 zakładów rzemieślniczych. Do roku 1963 włącznie oddano 5.930 izb. Według założeń osiedle liczyć będzie ponad 14.000 mieszkańców. Najwyższym budynkami są: jeden jedenastokondygnacyjny i cztery dziewięciokondygnacyjne bloki.

KOSZT: Budowa osiedla kosztować będzie ponad 530 milionów złotych. Koszt jednej izby mieszkalnej zamyka się sumą 40 — 45 tysięcy złotych.

PROJEKTANCI: Założenia urbanistyczne osiedla opracowali: inż. Krystyna Krygier i inż. Romuald Furmańek. Architekci: inż. Zwierko, inż. Włochno i inni.

Rysował inż. arch. Jan Michalewicz





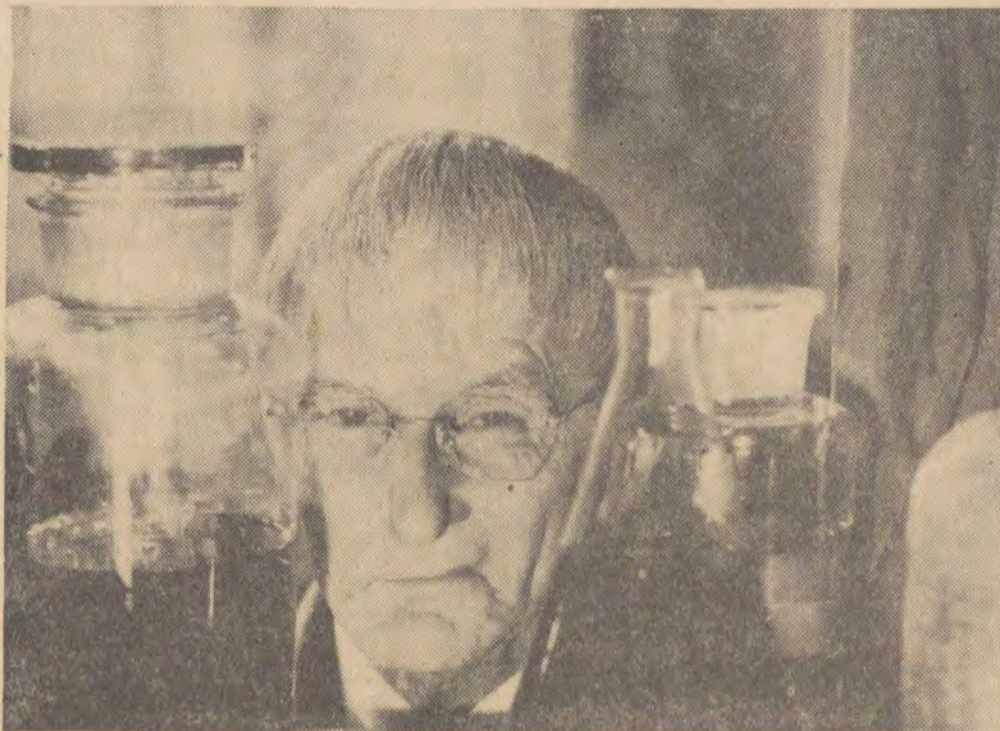




# Zielone światło dla SEMAFORA

Istnieje w Łodzi Studio Małych Form Filmowych czyli „Semafor”. Nazywa się to, owszem, ładnie, obiecująco i zajmuje się, jak wynika z szyldu, realizacją małych form filmowych, a więc animowanych, aktorskich i wreszcie telewizyjnych, dla dzieci i dorosłych. Ścisłej mówiąc, należy użyć czasu przeszłego: Semafor zajmował się... Bo zgodnie ze znakami na ziemi i niebie, obecnie Semafor może parzyć produkcją filmów animowanych i telewizyjnych — tylko dla miłośników. Zrządzenie losu dosyć zagadkowe. Tym bardziej, że niektóre filmy aktorskie „Semafora” odniosły znaczne sukcesy w kraju i za granicą. W „Semaforze” wielu naszych wybitnych twórców próbowało swych sił w małych formach, które są stosunkowo mało kosztowne, a zatem świetnie nadają się do różnego typu eksperymentowania. Do małych form mamy szczególne szczęście, czego dowodem liczne nagrody na międzynarodowych festiwalach. Przypomnijmy chociażby „Saki” Polańskiego, „Czarodzieja” Makarewicz, „Cmentarz Remu” Eltera, „Ambulans” Morgensterna, „Szpital” i „Kapelusz” Majewskiego itd. Małe formy poza swą samodzielną wartością

artystyczną mogą służyć jako coś w rodzaju wprawek reżyserskich. Można dzięki nim rozwijać i wzbogacać warsztat artystyczny, wypróbować nowe środki techniczne i wyrazowe oraz metody twórcze. Poszukiwania w dziedzinie małych form dokonywane na terenie „Semafora”, stwarzały szansę dla uformowania się polskiego filmu poetyckiego. W kraju zawrotną ilość poetów, zwłaszcza „młodych” ten rodzaj filmowy posiada ogromne perspektywy. Niestety, szansa została pogrzebana razem z „upupieniem” „Semafora”. Zespoły realizatorskie nie uprawiają bowiem małych form. Specyfika „oświatówki” lub „dokumentu” stoi na zawadzie kulturowaniu filmu poetyckiego w ramach tych wytwórni, aczkolwiek od czasu do czasu raczą nas one pozycjami z pogranicza albo produkcji „ubocznej”. Sądzę więc, że pozbawiając „Semafor” możliwości uprawiania eksperymentu, możliwości realizowania ambitnych prób małych form filmu aktorskiego, wyrządono wielką krzywdę zarówno twórcom, odbierając im coś w rodzaju doświadczalnego poletka jak i samej sprawie polskiego filmu. Ale to jeszcze nie wszystko.

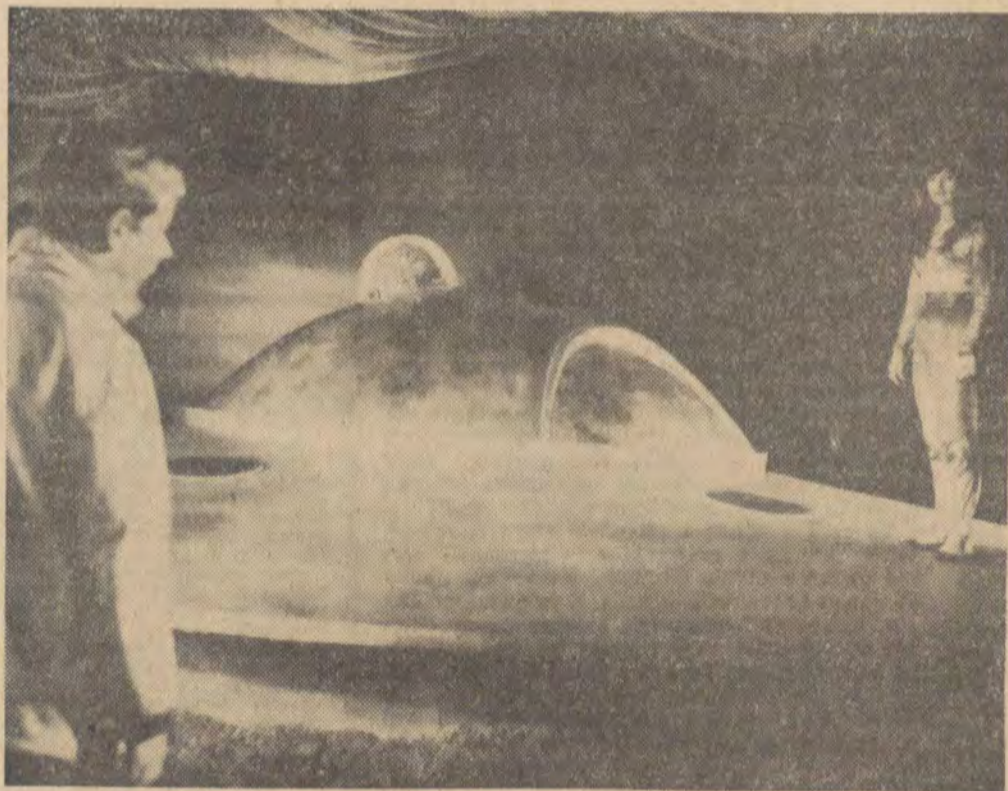


Kadr z filmu pt. „Prof. Zazul”

Zagadnieniem coraz bardziej palącym staje się problem filmów telewizyjnych. „Semafor” właściwie pierwszy podjął realizację tego typu filmów i posiada już w tej dziedzinie pewien dorobek, także w sensie zdobytego w trakcie pracy doświadczenia. Trzeba uczciwie przyznać, że pierwsze telewizyjne filmy „Semafora” (np. „Profesor Zazul”) nie mogły wzbudzić nadmiernego zachwytu. Ale już ostatnie, np. „Luiza” J. Kubika lub 2 filmy Majewskiego stanowią interesujące osiągnięcia w zakresie rodzimej scenie fikcji. Zwłaszcza w „Luizie” nastroj grozy i niesamowitości łączy się

bardzo zgrabnie z dowcipnym przymrużeniem oka i tonem lekkiego pastiszu. W ten sposób dostarcza się widzowi emocji z dreszczykiem nie rezygnując z ambicji i poszukiwań artystycznych. Kto wie, może z czasem „Semafor” wyhodowałby realizatorów

Wprawdzie wypowiedzi kierowników niektórych zespołów (np. J. Rybkowskiego) brzmią bardzo ambitnie, ale dopiero przyszłość pokaże, jaka będzie „czynów stal”. Dlatego, by jednak nie pozwolić „Semaforowi” na „rozkretnienie” jakiegoś doświadczonego



Kadr z filmu pt. „Gdzie jesteś, Luizo?”



Kadr z filmu pt. „Przyjaciel”

wyspecjalizowanych w robieniu filmów telewizyjnych. Na szczęście, dla nas, którzy nie oglądamy telewizji, nie dopuszczono do tego. „Semafor” będzie odąd robił tylko filmy dla niedoroslých dzieci. „Doroslą” produkcje przejęły zespoły. Znajac istniejącą aktualnie w naszej kinematografii sytuację, nie trudno odgadnąć, że w tych ramach potraktuje się rzecz całą na zasadzie chałtury i produkcji ubocznej.

Nie mając na razie nic lepszego do roboty, a pragnąc co nieco zarobić na powszedni samochód, członkowie zespołów „chwytają” się będą za filmy telewizyjne.

go ośrodka produkcji filmów telewizyjnych, opartego oczywiście o odpowiednią bazę techniczną, która jak dotąd nie istnieje. Można by wówczas mieć nadzieję, przy należytych jeszcze usprawnieniach, że tworzenie filmów telewizyjnych przestałoby być domeną chałtury i potraktowane by zostało na serio.

Maria Kornatowska

## SŁOWO

## PRZEDMIOT

Niepomierne często zdarza nam się orzekać czego w telewizji nie znamy. Przede wszystkim więc twierdzimy, że nieznane są wszystkie programy niedobre, w odróżnieniu od dobrych. Takie rozróżnienie oczywiście mówi niewiele, choć jest cząstką naszego stosunku do zjawisk postrzeganych na ekranie. Ale ponadto wyrzekamy na „niestrawność” teatru programów muzycznych, w szczególności telewizyjnych filmów. Wyrzekamy z różnych względów. Każdy z telewizorów ma swoje racje, a racje te rzadko

się ze sobą pokrywają. Powstaje galimatias, głosy krytyczne tworzą sytuację nowej wieży Babel, gdzie każdy mówi o sobie, bez możliwości porozumienia się z rozmówcą. Ten stan rzeczy oczywiście prowadzi nie w środek, ale na periferie zagadnienia, w końcu mówi się o wszystkim, tylko nie o telewizji. Stawia się postulaty trafiające w sedno spraw teatralnych, filmowych, dziennikarskich, omija się zaś skrzętnie te, w których główną rolę odgrywa kamera — jako środek przekazu i rzeczywistość — jako przedmiot przekazywany.

A od tego się przecież zaczęło. Każdy początek bywa spontaniczny. Tak było i z telewizją. Wybrała dla siebie dziedzinę, której istotą była szeroko rozumiana autentyczność. Wszystkie artystyczne „przydatki” były sprawą późniejszą, nawiązywały się z upływem czasu, aż wreszcie pokryły wszystko, co wcześniej zostało spontanicznie uznane za ważne.

Na początku telewizja była tylko szyba. Szybą, przez którą można było oglądać,

tak jak przez własne okno to, co dzieje się na ulicy. Magiczne właściwości szyby sprowadzały się jedynie do rozszerzenia pola widzenia. Rejestrowała wydarzenia rozgrywane się o wiele kilometrów od obserwatora. Wyposażała go w nowy zmysł — dalekowzroczność. W gruncie rzeczy jednak nie przynosiła nic, co nie byłoby znane z codziennych doświadczeń: mecz futbolowy czy sprawozdanie z lokalnej uroczystości sprowadzały telewizję na płaszczyznę reportażu.

Potem dopiero na szybko zaczął się pojawiać ornament. Chodziło już o coś więcej, niż o pokazanie wycinku rzeczywistości. Wycinek należało upiększyć, rzeczywistość należało ufrzyzować. Dłż już można ocenić skutek owego „złobnictwa”. I ocenia się je. Przede wszystkim w krytyce telewizyjnej, wtykającej twórcom wszelkie usterek artystycznych nosumiec.

Na szczęście są jeszcze w programach telewizyjnych pozycje, które żadnej krytyce nie podlegają. Pozycje oglądane chętnie i bez zastrzeżeń. Jeśli nie oglądane, to

również bez zastrzeżeń, tak, jak nie oglądaliśmy ich „na żywo” w życiu. Nietrudno rozstrzygnąć które. Nikt nie może mieć zastrzeżeń natury artystycznej do sprawozdania z meczu pierwszoligowych drużyn piłkarskich, ani do transmisji z uroczystości powitania słynnego meza stanu. Ocenom estetycznym nie podlega również reportaż rejestrujący moment ujęcia groźnego zbrodniarza, ani teleturniej „Kółko i krzyżyk”. Fakt zaś, że ten właśnie gatunek telewizyjnych przekazów chętnie oglądamy świadczą, że nie jest on dla nas pozbawiony wartości. Często mówimy nawet, że jest to gatunek najlepiej prezentujący się na ekranie telewizyjnym. Dlaczego?

Jest to bowiem ten gatunek widowisk, który dopiero wtedy dociera do odbiorcy kiedy się go obejrzy. Nie można opisać grymasu na twarzy meza stanu, nie można opisać znakomitego wykorzystania sytuacji podbramkowej nie można opisać stopnia zawodu na twarzach kibiców, gdy znakomita sytuacja podbramkowa zostanie wykorzystana

stana źle, nie można opowiedzieć zmieszania czy egzaltacji uczestnika teleturnieju. Tak, jak nie można opowiedzieć dowcipu rysunkowego. Słowo zawodzi. Telewizja zaś z racji swej natury preferuje doznania wzrokowe. Istota rejestrowanego zjawiska i istota rejestrującego aparatu zostają ze sobą doskonale sprzęgnięte właśnie wtedy, gdy na ekranie pojawia się autentyczny mecz, czy autentyczna manifestacja. Cała reszta tego, co oglądamy jest zapożyczona skądinąd.

Postulat, by w telewizji pokazywano nam tylko wypadki autentyczne i nieinżynierowane jest oczywiście nie do przyjęcia. Takiej telewizji nikt by nie strawił. Prawda jest tylko to, że niewielej nieufności budza na ekranie takie pozycje, które można gdzieś indziej przeczytać lub usłyszeć. Tym zaś jesteśmy czestowani zbyt często. Telewizja bowiem bawi się w opowiadanie dowcipów rysunkowych zamiast je pokazywać.

MIKS



### TAJEMNICA SORAYI

W oczekiwaniu na prace przed kamerą w filmie „Tajemnica” Alberto Lattuada, Soraya pilnie ćwiczy. Ale nie chodzi jej o postawienie głosu — trenuje raczej tenisa. Jej partnerem jest Maksymilian Schell (zdobywca „Oscara” za „Proces w Norymbierdze”). Niedaleko od Cinecitta na Via Appia była cesarzowa mieszka w pięknej willi, strzeżonej przez wielkie psy policyjne i tylko Maksymilian Schell ma prawo wstępu do pałacyku Sorayi Esfandiari. Każdego poranku obydwoje grają w tenisa i jak mawiają niedwukrotni dziennikarze, podglądający z zapalem tę parę, Soraya stale wygrywa.

### REPERKUSJE „KLEOPATRY”

Znowu wiele hałasu wokół Kleopatry i „Kleopatry”. Wytwórnia Foxa wytoczyła Liz Taylor i Richardowi Burtonowi trzy procesy. Fox uważa, że skandaliczny tryb życia Taylor i Burtona, jaki prowadzili w czasie zdjęć odbił się w mocno niepożądany sposób na wpływach kasowych filmu... Żąda więc od Liz Taylor 20 milionów dolarów za „błędy zawodowe”, 5 milionów dolarów od Richarda Burtona i 25 milionów dolarów od obojga małżonków za to „że wystawili się na śmieszność i na publiczną wzgardę”. Ze swej strony Liz atakuje producenta, dowodząc, że nie wypłacono jej 2 milionów dolarów z sumy, którą miała otrzymać za rolę Kleopatry...

### MALGORZATA I BEATLES

Księżniczka Malgorzata wraz z mężem będzie okrasa premierą filmu Beatlesów „A Hard Day's Night”. Natomiast „Cudowne życie” Cliffa Richarda zaszczyli księżniczka Aleksandra.

### HOLLYWOOD LUBI ZAPOMINAĆ

Za wszelką cenę zapomnieć o niedawnej żalobie — oto naczelnie hasło Beverly Hills. Po czarnej serii pogrzebów — Bogarta, Coopera, Gable i Marilyn Monroe triumfuje w „Hollywood... radość życia i uczucia. „Wielecy” Hollywoodu muszą pilnie uważać, aby nie wyjść z mody, a więc starają się dostrzymać kroku szaleństwu młodych. Niepełne trzy lata temu Frank Sinatra, Dean Martin, Rock Hudson i Jack Lemmon pozwolili sobie na odpoczynek, rozpoczęli spokojny, mieszczański relaks. Wiele wprawdzie pracowali, ale praca i reklama przestały być dla nich sprawą najważniejszą. Sinatra marzył o nowym małżeństwie. Lemmon próbował sił w teatrze, Hudson zajął się z pasją żeglarskim — i dopiero teraz spostrzegli swoją gafę — przestali się liczyć jako „świecie krowy”. Publiczność przestała w nich wierzyć. Natychmiast więc postanowili się poprawić i wioda swój żywot jak wszyscy: „przecież to zupełnie normalne, że w życiu musimy grać dalszy ciąg naszych ról filmowych”.

### MATKA JOANNA OD ANIOŁÓW

Tygodnik „Die Zeit” (Hamburg — Buenos Aires — Toronto) z dnia 15 maja br. zamieszcza obszerną recenzję, opatrzoną rdzeniem, o filmie Jerzego Kawalerowicza „Matka Joanna od Aniołów”. Autor recenzji, Uwe Nettelbeck, kończy swoje uwagi słowami: „Kawalerowicz uniknął wszelkiego patosu, ze spokojem rozwija on fabułę swojego filmu, po mistrzowsku przeprowadza pomysły, nie wypadając ani razu z rytmu i stylu widowiska”. O tym samym filmie zamieścił również recenzję miesięcznik niezależnej młodzieży studenckiej „Konkret”, wydawany w Hamburgu.



## DREWNIANY PŁON

Pierwszy raz przyniósł drewnianego Chrystusika, diabła-szlachcica i przysadzistą babę. Mówił, że te głupstwa wyrzeźbił znajomy dziadek. Wstydzil się.

Wstydzil się Ignacy Kamiński swoich ludków drewnianych — to była przecież zabawa — dziwna zabawa, bez nadziei na profit dający społeczną aprobatę. Wstydzil się Marciniak i Kołodziejczak, Grabski i Czerwiński. W surowych kategoriach wsi nie mieściła się zabawa drewnianym klockiem.

Spoleczna aprobatę przysłała po zakupach Cepeli, po wystawach w Belgii, Anglii i Stanach Zjednoczonych. Nawet multimilioner Rotschild ma swój udział w uznaniu pracy Grabskich i Kamińskich przez społeczność Wólki, Leśmierza, Swinicy... Rotschild zakupił rzeźby leżące i być może właśnie wtedy uznano, że machanie kozikiem nie kompromituje.

Dziś artyści zachwycają się szlachetnością bryły tych intuicyjnie niemal tworzonych rzeźb. „Panie — woła Wacław Kondek — panie, pod tą rzeźbą ja bym się chciał podpisać.” Smukły Chrystus — a może po prostu człowiek, umierający. — Stefan Kołodziejczak nie wyrzeźbił krzyża. — Nie czuje się jego braku — pozostaje tylko ekspresywne wygięcie, ból, agonía.

W chłodnych salkach starej prochowni na tkaninach z Oraczewa, Jastrzębia i Krzepocina gra wiejska kapela, siedzą zafrasowane wiejskie baby trzymające Syna w ramionach, przykucał czarny diabeł. Tu zawodzi miarki krytyków

— ta rzeźba tak bardzo podobna do rzeźby polinezyjskiej z odległej o tysiące kilometrów Wyspy Wielkanocnej, której oni nie znają nawet ze słyszenia, ta rzeźba wzięłością bryły przypominająca romańskie sylwety z odległego o dwa kilometry Tumu.

Zawodzi miary krytyków — ta sztuka podświadoma, obrosła w gadkę, legendę — to misterium tworzenia wizyjne i piękne.

Ci twórcy z Oraczewa i Leśmierza, z pszennej ziemi leżycykiej, ci twórcy odkryci i ośmieleni przez Jadwigę Grodzką mają swą artystowską wizję i gest. Czerwiński — solidny szewc świniaki dostał raz kiedyś tref do naprawy, tref z lipowego drzewa... Nie wiem co w klocku drzewa zobaczył stary Czerwiński, ale tego dnia nie siedział nad kopytem. Nad solidnym rzemieślnikiem wziął górę artysta. Nie przemógł stary Czerwiński chęci dotarcia do środka starego kawałka drzewa, w którym zobaczył „coś”.

Ta rzeźba niesie z sobą legendę i opowieść, wizję artysty i czarownika. Wieczorami płynie gadka o diable błotnym, o czarnym diable co chciał przewrócić kościół, o przyglupim Jasiu, krwawym szlachcicu i roztrępnym chłopie. Z tych wieczorów i gadek wyrasta drewniany płon, płon surowy i chropawy, piękny i jakis niedopowiedziany nowy. Ten płon czule ręce Jadwigi Grodzkiej lokują w zamkowej prochowni w sztafarszu ciężkich sklepień i barwnych tkanin.

Tekst: JERZY WILMAŃSKI  
Rysował: WACŁAW KONDEK

## LISTY do REDAKCJI

Pisarz z NRD, pan Kurt David poczuł się dotknięty notatką zamieszczoną w nr. 312 naszego pisma. Dziś zamieszczamy fragment jego listu w tej sprawie.

... Pan Koprowski tyle mówi o wspaniałych tłumaczeniach dzieł Reymonta na język niemiecki. Wydaje się, że nie wie on o tym, że te tłumaczenia wydane były przed czasami Hitlera. W okresie hitlerowskim naturalnie były one niszczone (w tym czasie miałem 14 lat). Po wojnie wyszło jedno jedyne wydanie Reymonta w 1954 r. w Wiedniu — co w czasie pracy nad moją książką o Polsce udało mi się ustalić (w międzyczasie przeczytałem 4 tomy eposu Reymonta „Chłopi” o czym w książce przecież wspominałem). W handlu niestety tych dzieł nie ma. Właściwie to nie wiem czemu mi Pan Koprowski zarzuca, że przed przybyciem do Łodzi nie znalazłem Reymonta... skurat tylko to miejsce cytuję z mej obszernej książki, która jest pierwszą tego typu w Niemczech o Polsce po 1945 r.! To wydaje mi się trochę „unfair”. W czasie swego pobytu w Warszawie byłem przedstawiony wielu młodym i starszym poetom którzy żadnych wierszy B. Brechta, A. Seghers czy Joh. R. Bechera nie znali — chociaż znam szereg dobrych tłumaczeń polskich. Naturalnie z przyjacielskich powodów o tym w swojej książce o Polsce nie wspominałem...“

### JERZY ANDRZEJEWSKI PO NIEMIECKU

W wydawnictwie Langen-Müller w Monachium ukazały się jednocześnie dwie książki Jerzego Andrzejewskiego: „Die Porten des Paradieses” (Bramy raj) i „Warschauer Karwoch” (Wielki Piątek) w przekładzie Renaty Lachmann. Pozytywną recenzję o obu tych książkach drukuje „Die Welt der Literatur” z dnia 16 maja br. Ponadto ukazały się w NRD następujące książki polskich pisarzy: Jarosława Iwaszkiewicza „Der Höhenflug” i Kornela Filipowicza „Tagebuch eines Antihelden”. Obydwie książki spotkały się z dobrą oceną krytyki.



#### DWORZANIN

Jest nim bohater nowel, a piątek z kolei powieści Patkowskiego. Jak zawsze współczesnej i mocno osadzonej w realiach.

Rzecz bynajmniej nie dotyczy bawidamka z królewskiego dworu. Henryk Patkiewicz jest publicystą medialną w polskim miasteczku pod Wrocławiem, dyrektora, szabrownika,

uchodźcy, kucharza i wreszcie kochanka nieco lewicowej przedstawicielki Nowego Świata. Był wreszcie romantykiem i z tych to właśnie, a nie politycznych pobudek wynikła jego ucieczka z kraju w któryś dzień 1948 r. Nie zastanawiając się nad racją stanu poszedł za głosem miłości w dostojnym tego słowa znaczeniu. Nie ślepy, zatrzymany przez włoską policję nie zdażył na statek, który uwiózł jego wybrana. Może dzieki temu „idealnie nie siał broku”.

Po latach, które przyniosły mu sławę i dostatek, odwiedza kraj rodzinny. Może po prostu Polska, gdyż zdaje się teoria prawa ojczystego Pascala Manzińskiego ma wzięcie głównie u makaroniarzy. Z tej to podróży, stanowiącej odwrócenie dyktandowskiej, powstaje bryllion Henryka Patkiewicza. Czyli powieść Macieja Patkowskiego pt. „Dworzanin”.

Dlaczego jednak DWORZANIN? Nie wątpliwe, że sięgnięcie po tę ciekawą książkę młodego człowieka, ale dojrzałego pisarza. Dlatego uchylę rąbka tajemnicy. Chodzi o rolę hu-

manistyki w wieku lotów kosmicznych. A wśród niej literatury, która „stała się koszmarnie dworską”. Bo tylko portretuje, ale nie ma już siły kształtowania sumienia. Ten podtekst bryllionu Henryka Patkiewicza — zostawiamy rozważać Czytelnika.

K. F.

Maciej Patkowski „Dworzanin” Wyd. „Iskry” 1964, str. 137.

#### ROSJA WE KRWI

Zanim przeczytałem ten tom, mówiło mi, że gdyby Artiom Wesołoj mógł swoją epopeję skrócić, byłaby to rzecz na miarę „Cichego Donu”. Przeczytałem „Rosję we krwi skapana” i myślę, że jest to książka nawet w swojej obecnej postaci, niedokończona i fragmentaryczna — bez mała dorównująca dziełu Szolchowa.

Książka mówi o burzy rewolucyjnej, która gdy raz rozszalała, nielato do siebie kierować. Książka jest okrutnie realistyczna i przedziwnie poetycka.

Mówi o frontach rewolucji — właśnie o frontach, bo było ich wiele. Mówi o „programach politycznych” kozackich watażków, straszających się w zdaniu: „Ruski — kęsim. Nosisz czerwona gwiazda — kęsim. Słyszysz w jacejka — kęsim”. Mówi o komunistach i kozackich szaniach, o marynarzach czarnomorskiej floty i władzy radzieckiej w miasteczkach Chomutowo i Klukwin.

Jest to bowiem ogromna 500-stronicowa księga zamierzona jako wielotomowa, wielopłaszczyznowy obraz rewolucyjnej burzy. Artiom Wesołoj nie mógł skrócić swojej „Rosji” — został rozstrzelany w 1939 roku na skutek fałszywych oskarżeń. W Związku Radzieckim zrehabilitowano go — u nas rehabilituje go wydana przez MON największa praca jego życia. Rehabilituje jako pisarza i komunistę.

J. W.

Artiom Wesołoj: „Rosja we krwi skapana”;

MON — 1964. Przełożył Ignacy Szenfeld, Cena 32 zł.

#### UCIECZKA DO EGIPTU

„Ucieczka do Egiptu” jest czwartą książką Jerzego S. Sito. Pokolenie poetów, do którego Sito należy, wychodzi już z okresu formowania materii poetyckiej, z okresu wchłaniania i przesapiania różnorodnych doświadczeń technicznych. Poświadczają to ostatnie książki Stanisława Grochowiaka i Ernesta Brylla, poświadczają to również „Ucieczka do Egiptu”. Pierwsza książka Jerzego S. Sito — wydany w roku 1953 tom „Wiozę swój czas na ośle” i pochodzące z roku 1960 „Zdjęcie z koła” — zapowiadały poezję. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, jakiego poezję? Czym różniące się od swoich rówieśników? Co wybierającego z tradycji wiersza polskiego? Odpowiedzią na te pytania była już „Śmierć i miłość”, antologia przekładów —

P. L.

Jerzy S. Sito „Ucieczka do Egiptu”, Czytelnik, Warszawa 1964.





"SAKI" /H. H. MUNRO/ SREDNI VASHTAR



Fot. Natalia Kasper

Conradin miał dziesięć lat. Doktor orzekł, że chłopiec będzie jeszcze żył nie więcej niż pięć lat. Doktor był gładki i gładki, lecz jego opinia została potwierdzona przez panią de Ropp...

w zapomnianym kącie ogrodu, nieomal że ukryta za ponurymi krzakami, stała opuszczona szopą na narzędzia. W jej ścianach Conradin znalazł raj, coś co przybierało zmienny charakter...

bieta oddawała się religii raz na tydzień w pobliskim kościele, dokąd zabierała ze sobą Conradina, jednak dla niego nabożeństwo w Okrągłym Domu było rytuałem obcym...

Kura nie została wciągnięta do kultu Sredni Vashtar. Conradin już dawno ustalił, że była Anabaptystka. Nie udawał, iż posiada najmniejsze choćby pojecie, co to jest Anabaptystka...

Zaabsorbowanie Conradina szopą na narzędzia, zwróciło uwagę opiekunki. „To nie jest dla niego dobrze, obijać się tam bez względu na pogodę”...

— Myślałam, że lubisz tosty — wykrzyknęła urażona, widząc, że go nie tknął.

— Czasami — powiedział Conradin.

Tego wieczoru do tabożeństwa w szopie została wprowadzona innowacja. Conradin zwykł był śpiewać peany zachwytu, dziś przesiadł o łaskę.

— „Zrób jedną rzecz dla mnie, o Sredni Vashtar”.

Rzecz nie została spreżyżowana. Sredni Vashtar jako bóg powinien, był wiedzieć. Conradin tłumiąc w sobie sioch i kłopot...

Conradin zacisnął usta, lecz Kobieta dotąd przetrząsała jego sypialnię, aż w końcu znalazła starannie ukryty klucz i pomaszerowała do szopy ukoronowana odkrycie.

dowił się Conradin. Widział Kobieta wchodzącą i następnie wyobraził sobie jak otwiera drzwi świętej klatki i wiepia swe oczka krótkowidza w grubo wymoszczone słomę...

Sredni Vashtar wyruszył. Jego myśli, były czerwonymi myślami, a jego zęby były białe.

I nagle przestał śpiewać i zbliżył się do szopy. Drzwi szopy, tak jak je zostawiono, stały otwarte na oścież...

— Herbata na stole — powiedziała służąca o skwaśniałej twarzy. — Gdzie jest pani?

— Jakis czas temu zeszła do szopy — powiedział Conradin.

I kiedy służąca poszła zawołać panią na herbatę, Conradin wyciągnął z szuflady kredensu widelec do tostów i zaczął przypiekać kawałek chleba.

— Kto powie o tym biednemu dziecku? Nie zrobię tego za cenę mego życia! — wykrzyknął drżący głos.

Tłum. z ang. L. U.

Notatnik Kultu RALNY

13-21. V. 1964

PONIEDZIAŁEK

Aleksander Maliszewski napisał dwie naprawdę dobre sztuki — „Droga do Czarnolasu” oraz „Balady i romanse”.

WTOREK

Lat temu dziesięć w sposób bezwzględny i okrutny zmuszono mnie do pamięciowego opanowania problemów z gatunku a² + b² = ...

ich pisarzy historyczni, Bałem się trochę spektaklu w salce GKO. Bo i cóż tam ujrzałem? Ujrzałem rodzinę, gdzie jeden syn kolaborant i prawie faszysta...

ŚRODA

Wysłuchuję różnych odczytów. Na przykład nie dawno pewien wybitny naukowiec wygłosił do nauczycieli odczyt o stanach frustracji i jej konsekwencjach.

CZWARTEK

„Może być wyhodować co” — powiedział Chłop I. „A co, jak by zrobić?” — powiedział II.

PIĄTEK

A więc mamy pierwszą w tym roku regionalną galwęke — Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej. W programie zapowiedziano 23 imprez — artystycznych, sportowych, kulturalnych.

zaliczona i gwarna, 600-letnie polskiego księgarstwa. Uroczyste dekoracje, pochwały i podziękowania, komplementy i oklaski...

NIEDZIELA

„Józef Wasilowski okazał nam dziecię plci żeńskiej urodzone w Suwałkach dnia 23 maja roku bieżącego o godzinie siódmej z rana...”

Jerzy Wilman'ski